


ŻYCIE SZKOLENIA



DWUMIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU SZKOLNEMU
ORGAN SAMORZĄDU SZKOLNEGO
UCZNIÓW GIMNAZJUM IMIENIA JANA ZAMOYSKIEGO W WARSZAWIE

KONTO P.K.O. Nr. 16381

CENA 50 GROSZY



J. Bokunowski

JAN III SOBIESKI

Przedstawiciel Waszej Redakcji prosił mnie o napisanie kilku słów do pierwszego tegorocznego numeru Waszego pisma. Rad jestem waszym zaprosinom, lecz zarazem czuję się zakłopotany.

Mało się jeszcze znamy. Cóż zdołam powiedzieć Wam w kilkunastu wierszach druku? Wiele rzeczy wypadnie nam omówić obszernie podczas wspólnej pracy w szkole. Trudnoby je ująć tak krótko.

Poprzestaną tedy narazie na serdecznym powitaniu Was. Razem będziemy teraz pracowali, pomni tradycyji Waszej Szkoły — jednej z pierwszych szkół polskich na terenie Kongresówki przedwojennej, jednego z pierwszych zwiastunów wschodzącej „jutrzemki swobody“, pomni obowiązków, jakie taka tradycja nakłada.

Z radością stwierdziłem Wasze przywiązanie do swej uczelni; widzę, że dobrze się w niej czujecie; widzę, że zachowaniem się swoim, chętnem i dziś już sprawnym przystosowywaniem się do naszych wymagań, właściwem ich zrozumieniem — staracie się nie zawieść pokładanych w Was nadziei, nie narazić szkoły i jej opinii na szwank. Pragnę, byśmy w ten sposób wszyscy — i my, Wasi nauczyciele, i wy, nasi uczniowie — stanęli niejako do szlachetnych zawodów z najlepszymi. Odnieśliście niejedno zwycięstwo w zawodach sportowych z kolegami z innych szkół. Rozszerzcie teren tych zawodów: nie rezygnując z laurów sportowych, sięgnijcie po laury, wieńczące rzetelny wysiłek umysłowy i duchowy.

Widzę już, że nie zbraknie Wam dobrych chęci: jedynie o mocną wolę wsparte — dadzą one wyniki. Będziemy Wam pomagali. Szczególnie cenić będziemy Wasz własny, samodzielny i wytrwały wysiłek w pracy, którą sami potraficie zorganizować. Liczę na to, że odbywać się ona będzie w jedynej możliwej atmosferze między nauczycielem a uczniem: w atmosferze zaufania i przyjaźni.

Najstarszym z pośród Was mówiłem, że przyjaciel winien przyjacielowi przede wszystkim prawdę. Przyrzekłem im zawsze żywą i szczerą życzliwość. Nie obiecywałem — pobłażliwości. Proszę Was bardzo, byście się zastanowili nad tem i zrozumieli, czemu to winienem być i będę w stosunku do Was wymagający. Demagog i fałszywy przyjaciel odwołuje się do niższych instynktów, pochlebia lub pobłaża nadmiernie. Przyjaźń prawdziwa stawia duże wymagania.

Wierzę, że się nie zawiedziemy na sobie wzajemnie. Stajemy do pracy — do zawodów — jak do owego wyścigu, o którym mówił Wódz szczęśliwy i zwycięski; będziemy się starali prześcignąć innych dla dobra nie tylko naszego, ale i ich własnego. Nie bagatelizujcie Waszych obowiązków — choćby drobnych napozór — i Waszych możliwości. Będziemy pracowali dla dobrej sławy i pożytku małej społeczności naszej, jako cząstki społeczności polskiej, będziemy strzec dobra jego i honoru, jako cząstki dobra i honoru Polski, w służbie szkole widząc udział w służbie Państwu.

DYR. DR. JAN DĄBROWSKI.

1863 — 1933.

W 250-TĄ ROCZNICĘ ODSIECZY WIEDENSKIEJ.

Zasadnicza linja polityki Jana Sobieskiego, zmierzająca do utrzymania nader ścisłego związku z Francją, co zostało przypieczętowane podpisaniem traktatu zaczepno - odpornego z Ludwikiem XIV, napotykała z biegiem czasu na coraz to silniejszy opór większości społeczeństwa Rzeczypospolitej. Zarówno nadzieje rewizji przy pomocy potężnej Francji nieszczernej pamięci traktatu welawsko - bydgoskiego, zabierającego nam Prusy wschodnie, jak i myśli odzyskania Śląska nie dały konkretnych rezultatów. Było to zresztą wprost niemożliwe wskutek zaobserbowania naszej uwagi, no i większości sił militarnych w uciążliwej wojnie z Turcją, zakończonej pokojem w Żórawnie (1676). Zawiodła również pomoc Francji przy toczących się układach między Turcją a Polską o Podole, którego nie udało nam się odzyskać. W społeczeństwie wzrastał w siły popularny w owych czasach projekt wojny z półksiężycem, naturalnym sprzymierzeńcem króla Francji w

jego walce z cesarzem. Wszystko to skłoniło Sobieskiego do porzucenia sojuszu z Francją, do czego, nawiasem mówiąc, niemało przyczyniła się też i królową, obrażoną na Ludwika XVI za odmówienie jej ojcu tytułu książęcego.

Tymczasem ze wschodu nadchodziły coraz to groźniej brzmiące wieści o ogromnych przygotowaniach Mahometa IV do podboju Europy. Najwięcej zagrożonemi państwami były oczywiście Austria i Polska, na które najpierw natrafic musiał najazd turecki. To poczucie wspólnego niebezpieczeństwa zbliżyło oba państwa i skłoniło Sobieskiego, mimo sprzeciwu zawsze silnej na dworze i w sejmie partji francuskiej, do zawarcia przymierza zaczepno - odpornego z Austrią, w którym obie strony zobowiązywały się do wzajemnej pomocy w razie zagrożenia przez Turków Wiednia lub Krakowa. Ze było to przymierze potrzebnem, okazało się już w kilka miesięcy później, gdy wielki wezyr Kara Musta-

fa, połączywszy się z powstańcami węgierskimi, rozpoczął oblężenie Wiednia. Miastu, broniącemu się pod wodzą Rüdigera Stahremberga, groziła z racji wyczerpywania zapasów niewątpliwa kapitulacja. Zapobiegła temu przybyła w ciągu 8-miu dni odsiecz pod wodzą Sobieskiego, składająca się z połączonych wojsk polskich, austriackich i niemieckich.

Dnia 12 września 1683 r. został przypuszczony atak na obóz turecki, który w rezultacie przyniósł niebywały triumf armij sprzymierzonych, tak że tegoż dnia mógł zwycięski król pisać do Marysienki: „...Bóg i Pan nasz... dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej — wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze... Nieprzyjaciel, zaślawszy trupem aprosze, pole i obóz, ucieka...”

Tyle nam mówi historia.

Obecnie mija 250 lat od pamiętnej chwili, gdy złowrogi pochrzest zbroi husarji, ruszającej z Kahlenbergu do ataku, zwiastował wiekopomną sławę dla wojsk przybyłych na odsiecz, wodza, który je poprowadził i narodu, który go wydał. Dość ryzykownym jest przewidywanie, jaki obraz przedstawiałaby karta polityczna Europy w razie niepowodzenia odsieczy wiedeńskiej. Niemniej jednak możemy z całą pewnością twierdzić, że znaczną przynajmniej część starego ładu czekałoby jarzmo tureckie, jarzmo mahometanizmu, namiętnie zwalczającego „giurów” i wszystko, co z nimi było związane. Nie stałoby tam z pewnością miejsca na jakikolwiek rozwój chrystjanizmu i tak ściśle z nim związanej całej kultury Zachodu. Odsiecz wiedeńska sprawiła, że tego uniknęliśmy, i w tem też tkwi jej ogólnoeuropejskie znaczenie.

Państwo austriackie, rozumiejąc dobrze całą ważkość rocznicy, obchodziło ją w całym szeregu uroczystości, zamkniętych głównie w ramach zjazdu katolików niemieckich, w których, obok najwyższych przedstawicieli naszego episkopatu, wzięły także udział zaproszony oficjalnie rząd polski.

Nie jest to jednak tylko święto austriackie czy niemieckie. Dzień 12 września 1683 r. posiada i dla nas znaczenie nieprzemijające.

Nietylko dlatego, że był to jeden z największych naszych triumfów militarnych, w którym dzielność i brawura żołnierza sprężyły się z genialnością i roztropnością wodza. Nietylko dlatego ze wzruszeniem patrzymy na tak odległą przestrzeń przeszło dwóch wieków, a mimo to z jednakową wyrazistością malującą się w duszy każdego z nas ową pamiętną chwilę wrześniową, bo był to jednocześnie moment wzrostu mocarstwa państwa przed smutnej pamięci rządami Sasów.

Czcimy ten dzień przede wszystkim jako moment, dający nam prawo do chlubienia się przywilejem należenia do narodu „semper fidelis”, do państwa, które było i będzie przedmurzem chrześcijaństwa.

W dzisiejszej Polsce katolicyzm zajmuje stanowisko dostatecznie potężne. Jest on nieodłącznie związany tradycjami religijnymi z naszym narodem. Niemniej jednak daje się również zauważyć i wzrost prądów, które godzą w podstawy naszej moralności, a co za tem idzie — i katolicyzmu. Rocznica tegoroczna nabiera przez to szczególnego znaczenia, zdając się być przypomnieniem konieczności obrony swej wiary przed wszelkimi na nią zakusami. Musimy bacznie się strzec, aby nie stracić szczytnego miana, zdobytego przez hekatombę poległych na polach Warny, pod murami Wiednia czy wreszcie nad Wisłą, Bugiem i Wkrą. Dziś najazd Turków już nam nie grozi. Zamiast nich mamy do zwalczenia równie niepokojące i niebezpieczne ideje komunizmu, odbierające nam nawet prawo do ukochania tego, co było największym skarbem naszych ojców i dziadów. Pamiętajmy o tem również i my wychowankowie i uczniowie szkoły, która na drzewcu swego sztandaru zawiesiła szarfy o barwach papieskich z wiele mówiącą prośbą - nakazem: *vigilate... czuwajcie!*

Jerzy Tymiński.

J A M B O R E E.

Słyszeliście zapewne coś niecoś o tegorocznym Jamboree na Węgrzech. Napewno nawet słyszeliście. Mówiono o tem trochę przez radio, ale, rzecz najważniejsza, w „Wiadomościach Sportowych” był raz zamieszczony artykuł jednego z korespondentów, którzy byli na zlocie. Autor po długich obserwacjach dochodzi do ciekawego wniosku, że wszyscy harcerze po wyjściu z organizacji zapiszą się niezwłocznie i skwapliwie do klubu.

Przypominam sobie jeszcze jednego korespondenta pism warszawskich. Co pisał, nie wiem, fakt, że w chwilach wolnych chodził w butach z cholewami i zajadał, bestja, cały czas brzoskwinie.

Mniejsza zresztą o buty i o brzoskwinie.

Otóż, gdyście wygrzewali wasze członki na

piasku nadmorskim lub przy dźwiękach patefonu, w słodkim tańcu gdzieś na werandzie letniska rozsyłali takie czarujące uśmiechy i półuśmiechy, jakie tylko na wakacjach uczeń rozsyłać potrafi, pewnego popołudnia zdala od ziemi naszych praojców garstka waszych kolegów stała na wielkiej arenie i marzła solidnie w kuszach porciętach i z podwiniętymi rękawami koszul mundurowych, bo ziąb był wtedy okrutny.

Nie śmiecie się jednak z owych kolegów (nie wiecie zresztą, jacy to), że stali tak spokojnie na wietrze i że wcale nie opuścili rękawów u koszul, bo obok nich stał przeszło tyśiąc jeszcze Polaków, a dalej Węgrzy, Anglicy, Francuzi, Hindusi, Arabowie, Murzyni, którzy marzli tak samo jak my, a narody egzotyczne

nawet, według wszelkich danych, nieco więcej.

Braliśmy bowiem wszyscy udział w wielkiej defiladzie, rozpoczynającej zlot.

Nie powiem wam przeto, jak nas Polki żegnały na stacji w Nowym Sączu i jak Węgierki witały kwiatami na granicy i jak ciężko pracowaliśmy nad urządzeniem obozu. Zacznę od chwili pięknej i potężnej, jak bojowe surmy — która napewno przyprowadzi wasze ciało, rozleńwione w słońcu nadmorskiem lub zaprawione w tańcu przedziwną harmonją, o szlachetny dreszcz zapału.

Zacznę od wielkiej defilady narodów.

Trybuny huczą tysiącami widzów. Stoimy w głębokich szeregach, rojowisko nieprzebrane ras, narodów, barw, strojów. Czekamy.

Tam, z dachu trybun machają sztandarem. To znak ostrzegawczy. Szeregi prostują się, miny poważnieją. Znowu znak, orkiestry grają hymn węgierski, wszystkie sztandary pochylają się, przed szeregami przejeżdża Jego Wysokość Regent Węgier Admirał Horthy na ślicznym, białym jak mleko koniu. Towarzyszy mu słonecznie uśmiechnięty staruszek w mundurze skautowym — gen. Baden-Powell.

Widzimy potem, jak galopują ku trybunom w strojnej asyście oficerów. Trwa teraz defilada. Płyną, płyną bez końca i egzotyczni Hindusi w turbanach, i Murzyni, i Egipcjanie w czerwonych fezach. Na trybunach zrywa się burza oklasków, las sztandarów pochyla się przed Jego Wysokością.

Idą, idą bez końca.

Wreszcie — Polacy.

Wiecie — byliśmy po Wielkiej Brytanji wraz z kolonjami najsilniejszą ilościową grupą.

Wiecie — zajęliśmy podczas defilady całą długość areny.

Wiecie — oklaskiwano nas entuzjastycznie, krzyczano, machano chusteczkami bez końca.

Długo jeszcze, długo trwała defilada.

Wracaliśmy do obozów, gdy już było zupełnie ciemno. Czterdzieści tysięcy ludzi wracało teraz na kolację. Ziąb był nieznośny.

Kucharz-biedacek, który musiał zostać w obozie, stoi nad czerwoną od żaru kuchnią i miesza coś w wielkim kotle.

— Kolacja gotowa?

— Już dawno — odpowiada.

Pobrzękując menażkami, podchodzimy kolejno do owej czerwonej i ciepłej tak rozkosznie kuchni. Nalewa nam do menażek z wielkiego kotła gorącej, słodkiej herbaty.

Wiatr trzepie płótnami namiotów i zimno jest coraz bardziej.

Dobrze, że mamy po dwa ciepłe, wyborne koce.

Hej, czasy to były, czasy!

A później przyszły upały straszliwe, nieznośne, kiedy nawet noc nie przynosiła wytchnienia. Na szczęście jednak można było wszędzie kupić lodów, a odległość między jednym kioskiem a drugim nie była znów tak wielka.

Jedliśmy więc lody, jedliśmy brzoskwinie i morele, od czasu do czasu ogryzaliśmy kukurydzę, no i chodziliśmy, chodziliśmy po sąsiednich obozach. Cóż to była za rozkosz! Mogłeś naprzykład powiedzieć Murzynowi: „Ty stara małpo“, a on ci w odpowiedzi białe zęby w uśmiechu pokazał. Te rozrywki uznawali też pewno i inni bracia-skaucci, bo często towarzysze wybuchali śmiechem, gdy się taki faryzeusz pozornie przyjaźnie z tobą witał.

Lubiliśmy się jednak i rozumieli doskonale. Handel zamienny kwitł w całej pełni. Autor wymienił z jakimś Murzynem duży, egzotyczny noż do torowania sobie drogi przez puszcze dziewicze (gdy spojrzę teraz na niego, zaraz mi puszcze dziewicze i ów gałgan Murzyn, który mi z początku zbiór pocztówek za mój pas hułculski proponował, stają przed oczami).

Zamieniliśmy i czapeczki egzotyczne, i znaczki skautowe, i lilijki. Jeśli ciekawi jesteście, jaki „czendz“ zrobił jeden w waszych kolegów, poszukajcie go wśród uczestników wyprawy z klasy 6. Chłopak miły i dobry — z chęcią udzieli objaśnień.

Tylko nie uśmiechnijcie się przypadkiem, bo już wszyscy wtajemniczeni z owej zamiany srode sobie pokpiwali.

Każdy z uczestników wyprawy miał prawo do jednej wycieczki w głąb kraju i jednej do Budapesztu. Jeździliśmy więc grupkami w różne okolice Węgier, podejmowani wszędzie nadzwyczaj serdecznie. Po Budapeszcie wożono nas samochodami, coprawda ciężarówkami, karmiono w restauracjach. Podczas deseru nawet Cyganie zagrali nam z własnej inicjatywy hymn polski, a Francuzom Marsyljanke, ale później, wyzyskując nasze uczucia patriotyczne, chodzili z talerzykiem i kazali sobie płacić.

Wieczorem — wpakowano wszystkich na statek. Dano nam po butelce lemonjady, w torebce była bułka potężna, ser, kielbaski i owoce. Dano to wszystko i kazano podziwiać pięknie iluminowane miasto. Niestety jednak, większość towarzystwa spała w najlepsze, poustawiawszy sobie stołeczki w arcywygodne łóża.

Bo też zmęczeni byliśmy nieraz ogromnie.

Wyprawa cała prawie wyjechała do Polski, część pojechała do Wiednia statkiem. Mieliliśmy piękną podróż Dunajem, (którego fale bure są, a nie modre, jak chce niejeden czarowny walczyk), noc, spędzona pod gołym niebem na wodzie — romantyczna, tylko zimna wprost niewiarogodnie, no i w Wiedniu czar walca, Prateru, sznycli po wiedeńsku i czystych, apetycznych łóżek w schronisku.

Tadeusz Kwiek.

KARTKA Z LAMUSA.

Przejrzałem na wakacjach stare archiwa
 pewnego dworu pomorskiego, znalazłem
 w nich niżej zamieszczone arcydzieło lite-
 rackie z lat 18..

Członek Redakcji.

*Kiedy Kara Mustafa, wielki mistrz krzyżaków,
 Szedł z licznymi zastępami przez Alpy na Kraków,
 Do obrony swych granic zawsze bardzo skory,
 Pobił go pod Grunwaldem król Stefan Batory;
 A bitny, nieugięty, twardy jak opoka,
 Zabrawszy z licznym łupem chorągiew proroka.
 Scigał go przez noc całą, w całym pędzie koni.
 Aż nad ranem go wsadził hen — do Macedonji.
 Na północy tymczasem, jakby w złą godzinę,
 Marjusz mieczem i ogniem niszczy Kartaginę,
 Prawnuk zaś jego Tytus, patrząc na to z żalem,
 Od najścia polskiej szlachty bronił Jeruzalem.
 Wówczas to wśród Sahary, w owym kraju tutez,
 Głosił nową religję sławny Marcin Luter,
 A pracując gorliwie piórem i wymową,
 Zginął razem z Homerem w Noc Bartłomiejową,
 Którą, pragnąc dać dowód swej wielkiej tyranji.
 Królowa Marja Stuart wyprawiła w Danji.
 August III, król saski, wezwał był Nerona,
 Sądząc, że z nim niegodną królowę pokona,
 Lecz zdradzon przez Stańczyków w złych losów kolei,
 Zaszczycił swą niewolą Przylądek Nadziei.
 Wówczas to Czech Kopernik, podróżnik na wschodzie,
 Zrobił nowe odkrycie na lądzie i wodzie:
 Objechałszy na tratwie Azję i Afrykę,
 Po tygodniu podróży odkrył Amerykę,
 Na co patrząc Hiszpanie nieprzyjawnym okiem,
 Zabili go w Meksyku wraz z poetą Cookiem,
 Gdzie regalista Kolumb, mierząc świata końce,
 Orzekł, że koło ziemi obraca się stońce.*

Reformy

I stało się, że zadrżało wszystko od podstaw. I oto znaleźli się biedni męczennicy za kratkami. A kratki były na metr wysokie i na dziesięć długie. Wstał lament wielki i szedł przez piętra wszystkie, wydostając się aż na ulicę: „Czyżbyśmy już byli tak niebezpieczni, żeby z „przybytku płaczu“ robiono ogród zoologiczny?”

A jeden z **Nich**, ten najmędrszy (z ósmej klasy), co to w zeszłym roku obchodził piętnastolecie rzetelnych studjów, uciszył płaczącą zgromadzenie i rzekł: „To jeszcze nie koniec!”. I zaległa śmiertelna cisza. A nazajutrz okazało się, że ci, co byli poniżeni, zostali wywyższeni i naodwrot: bo oto **Oni**, te bogi, te wyroczone (z ósmej klasy), zeszli na piętro drugie, a pospólstwo gorszego gatunku przeniesiono na trzecie.

Myslicie, że to już koniec? Ha! To dopiero początek! —

I nadszedł ów dzień, gdy ich poznaczono. I od tego czasu każdy z nich nosi na rękawie znamię przynależności do gromady, by się łącno nie zgubił... A biedne stworzenia potraciły głowy. I poczęto zakładać stowarzyszenia, które miały za zadanie wynalezienie odpowiednich sposobów, aby owe numery, w gmachu przykładownie noszone, łącno było, wychodząc ze szkoły, zdejmować.

A więc są już tacy, co mając już wprawę, pozostała po naszywkach, kłują sobie po staremu palce, usiłując zużytkować do zbożnego dzieła po parę szpilek. Innych — codzień rano można ujrzeć, jak oddają się z zapałem zajęciu, znanemu pod nazwą szycia, szyjąc jednak tak miśternie, by lekkie pociągnięcie wystarczyło do zerwania kabalistycznej „91“. Są i tacy, (a jakże!), co przyszyli sobie po trzy zatrzaski i tak zadoścczynią wymaganiom Temidy.

WITOLD WODZIANICKI

P R Z E Z N A C Z E N I E

(n o w e l a)

I.

Wczesny, różano-złotawy świt rozproszył mroki niedawno minionej nocy, z pośród której zwolna wyłaniał się blady dzionek. Nim upłynęło kilka chwil, świtanie zdawało się wzmaczać; jasność, wyłaniająca się z czeluści mrocznej nocy, rozproszyła szarżyznę zbudzonego dnia. Pierwszy brzask, powoli spływający na uśpioną jeszcze ziemię, począł przenikać do wnętrza izdebki poprzez małe, zlekka zapocone szybki jej okienek; wąskie i prawie jeszcze zupełnie blade promienie słoneczne, które dopiero co wzeszły, igrały bezszelestnie po szybkach okienek, czołgały się lśniąco smugami wzdłuż ściany komnaty, od czasu do czasu pieszczotliwie muskając zapadłe, wynędzniałe oblicze śmiertelnie chorego....

Bożena, która przez całą noc czuwała przy łożu chorego, siedziała zagłębiona w fotel, cicha i jakby przyczajona w tym spokoju, który spływał na nią w chwili, gdy pierwszy, różany świt nastął za oknami. Trwała w tej śmiertelnie ciszy nieruchomo; bała się poruszyć, bała się westchnąć głębiej, ażeby nie zbudzić chorego, który noc całą mając w gorączce, zrywał się z łoża ze straszliwym, zdławionym okrzykiem w gardle, poczem ze szlochom i jękiem opadał na miękkie poduszki swojej pościeli, osłabiony, złamany i ze szczeniem pograżony w niemocy ciężkiej choroby. Była to okropna noc! — Bywały chwile, w których zdawało się, że chory nie doczekała ranka, że zamrze wśród głuchej,

ciemnej nocy, nim nastanie wczesny brzask dnia. Bożena wspominała teraz te godziny trwożnego, niepewnego oczekiwania, kiedy to śmierć powolnymi krokami zbliżała się do chorego, czołgała się u progu komnaty z wyszczerzonymi zębiskami i spoglądała, rychło-li można będzie wyciągnąć kościste piszczele po upragnioną, zdawna już upatrzoną zdobycz. Przed oczyma Bożeny stały jeszcze w tej chwili jego bezprzytomne źrenice, błyszczące od żaru wewnętrznej gorączki, utkwione gdzieś w dali, jakby w bezkresnej przestrzeni, nie należącej już do padołu ziemskiego; w uszach jej brzmiał ten jego ciężki oddech, zmieszany z rżeniem, które wydobywało się z głębi piersi, z resztki płuc, zżartych przez gruźlicę, wyplutych niemal ze szczeniem, z plwocinami i krwią.

Dopiero wczesnym rankiem nastąpiło uspokojenie, gdy chory zapadł w drzemkę, daremnie oczekiwana w ciągu nieskończonej długich godzin nocy. Gorączka wówczas nieco spadła, straszliwe mary i jakieś sene widziadła, bezustannie czyhające u węzłowia łoża, odeszły gdzieś z nagłą, zginęły w chwilowym zapomnieniu, by z nastaniem nocy następnej zjawić się powtórnie z tym okrutnym, złowrogim chichotem, chichotem szatana, który nie przestaje drwić z ludzkiej niedoli w godzinach rozpacz i niewysłowionego smutku.

Tymczasem zaś, gdy błogi, krótki sen zawładnął chorym, — nastąpiła w jego duszy słodka niewiedza, zapomnienie wszystkiego, cokolwiek dotychczas było cierpieniem i okrutną szarzy-

Jeszcze nie przebrzmiały echa numerków, gdy oto nowe nieszczęście: „W prrrawo, wleewo — w prrrawo w leewo — raz, dwa, trzy, cztery, rozlega się codzień po pierwszym dzwonku. Trzykrotne klaśnięcie nosem o łydkę — pada skąd inąd komenda.

I widać tylko fruujące w powietrzu kończy-ny górne, słycać pracowite oddechy omdlałych z przemęczenia stworzeń, a od czasu do czasu coś jakby huk grzmotu: to klasa VI z półprzy-siadu skacze w rozkroku.

Zmaltretowane, przerażone, biedne stworze-nia głupieją od czasu do czasu z rozpacz: oto **Oni**, (przez wielkie O, ci z ósmej), stracili nawet raz głowy i usiłovali iść na fizykę jak gęsi czy kaczki, „gęsiego”. I wtedy narazili się strasznie i..... od tego czasu już chodzą czwórkami, w no-gę, o trzy kroki za wodziklasą-gospodarzem.

jw.

Zapomnij

Zapomnij, bo wspomnienie to jest trujący kwiat —

Uparcie będzie dążyć za biegiem twoich lat,
Przemkną radości, smutki i nie powrócą już,
Wspomnienie będzie drażnić, jak zapach
zwiędłych róż,

Przeszłość się wtuli w ciszę, zapadnie w mrok
i cień,

I zniknie twoje „wczoraj”, nim błysnie nowy
dzień,

Zapomnij. Ku przyszłości zwrócone oczy miej.
Jedyne, co pamiętaj, to uśmiech matki twej,
Ten, którym cię żegnała, nie widząc nic od
leż...

Niech ci hartuje duszę, nim spotka cię twoi
kres.

W. Ł.

zna, w której trwa. Spokój spłynął do głębin jego serca i otoczył go niewymowną ciszą, niby skrzydłami anielskimi, w których z ufnością spoczywał, śniąc o chwilach minionej przeszłości, o dniach beztroski, rozświetlonych młodzieńczą radością, o szczęściu utraconem już może bezpowrotnie....

Bożena czuła się bardziej wyczerpaną, niż kiedykolwiek. — Zmęczone i ciężkie od bezsennych nocy jej powieki opadały na oczy, przysłonięte mgłą niewymownego smutku. W mózgu brzmiał jeszcze chaos niedawno minionej nocy, dźwięczał odgłos płaczu i skarg, które wrzawały w chwilową ciszę, mającą w sobie przedziwną moc ukojenia. Bożena odczuwała potrzebę chociażby krótkiego spoczynku; w ciągu ostatnich dni i nocy nie oddalała się od łóżka chorego, żyła w ustawicznym podnieceniu, w jakiejś gorączce, wzrastającej stale w miarę zbliżania się chwili decydującej, — chwili, która miała zwiastować kres wszystkiego.... Wyzbyta z sił, dręczona do głębi tym straszliwym niepokojem, który wżerał się w duszę, szarpał i smażył bezlitośnie, jakby krwawym kańczugiem, — czekała w trwodze, aż nastąpi nieubłagany wyrok, aż spełni się to, nad czem myśl niestrudzenie pracowała.

Z biegiem czasu Bożena oswoiła się z tą potworną myślą o śmierci chorego, która była już bliską. Przestała teraz łudzić się nadzieją, stłumiła w sobie wszelką wiarę w polepszenie zdrowia chorego, w jakikolwiekby zwrot w jego życiu, które już dogasało zwolna i nieubłagane. Nie miała dość siły, aby mężnie i niezachwianie wierzyć w to, co jej przecucie szeptało tajemnie z całym okrucieństwem, ale z drugiej strony nie mogła żyć tylko nadzieją czy też ufnością, z pośród której wyłaniała się twarda, posępna rzeczywistość. Pragnęła o tem wszystkim zapomnieć z całej duszy! Nie mogła... Nie wiedziała dlaczego obchodził ją los tego człowieka? — Wszak była mu obcą, daleką, prawie zupełnie nieznaną. Nie tak dawno jeszcze, bo przed kilkoma miesiącami, nie znali się osobiście, nie wiedzieli nic, że jakiś dziwny zbieg okoliczności zapozna ich z sobą. Teraz, mimo sumienia i upadku sił, Bożena mimowolnie wspomniała dzień, w którym ujrzała go po raz pierwszy.

Było to zimą. Któregoś wieczoru, kiedy wolna była od zajęć w szpitalu, postanowiła udać się do teatru. Tymczasem, ni stąd ni zowąd dnia tego wyczytała w gazecie, że w sali konserwatorium odbędzie się jakiś koncert. Nie chodziła nigdy na koncerty, bo na to nie pozwalał jej czas ani warunki pieniężne. Zresztą muzyka nie interesowała jej zbyt; nie znała się na niej i nie odczuwała najmniejszej tęsknoty, ilekroć słyszała od znajomych, że czas, wolny od zajęć codziennych, spędzają w operze, na koncercie lub jakimś recitalu sławnego artysty. Tego rodzaju rozrywka była dla niej dotychczas obcą, obojętną, a nawet nużącą. Ale nie wiadomo dla-

czego w dniu, w którym miał odbyć się ów koncert, postanowiła wbrew swoim zasadom spędzić wieczór w konserwatorium.

Poszła. Pierwsza część koncertu była dość nudna. Nie zachwyił jej śpiew jakiejś młodocianej, wschodzącej gwiazdy operowej ani rzewna gra skrzypka, który może miał wszelkie dane ku temu, by w niedalekiej przyszłości stać się sławnym, utalentowanym wirtuozem, chlubą i ulubieńcem warszawskiej publiczności. Bożena była znudzona i zła; w cichości ducha przysięgała sobie, że póki życia nie pójdzie nigdy na żaden koncert, chociażby jej za to płacono i obiecywano złote góry. Po zakończeniu pierwszej części koncertu chciała opuścić prógi konserwatorium i wrócić do domu. Ale jakiś nakaz wewnętrzny, niby utajona, nieznaną jej siłą, kazał pozostać na miejscu i czekać, co dalej nastąpi. Jakoż po krótkiej przerwie nastąpiła dalsza część programu. Tym razem na estradę sali wszedł młodzieniec wysoki, szczupły, z ciemną falującą czupryną, z obliczem o rysach szlacheckich i pięknych, w których gościł nieprzewyciężony smutek, jakby ponury cień jesienny.... Lekkim ukłonem odpowiedział na burzliwe oklaski publiczności, poczem zasiadł przy fortepianie i rozpoczął grę.

Cisza zaległa salę. Z pod palców młodego artysty wypłynęły dźwięki szopenowskich melodyj, które jak bezcenne perełki snuły się niepostrzeżenie, toczyły się cicho, przeistoczone w zamierające echo, w jakiś odgłos, ginący w przestrzeni. Czar zstąpił na słuchaczy, napełnił ich duszę tą pieśnią wznoszącą się potężnie, co płynęła w nieobjętą, bezkresną dal i porывała z sobą tysiące myśli ludzkich, jak fala rozigranego żywiołu, z którym niesposób było walczyć...

Długo, bo do późna w noc młody artysta, obdarzony burzą entuzjastycznych oklasków, grał i bisował. Gdy przebrzmiał ostatni polonez, a z nim nastąpił kres koncertu, Bożena wraz z licznym tłumem słuchaczy, oniemiałych z zachwyty, opuściła salę konserwatorium. Długo jeszcze w uszach jej brzmiał odgłos muzyki, dźwięczały przecudne akordy, niedawno rozproszone w ciszy, — długo przed oczyma stała natchniona twarz artysty, wśród której ciemne źrenice lśniły, jak ognie w mrokach nocy rozbiły.... Odtąd Bożena skwapliwie uczęszczała na wszystkie koncerty utalentowanego pianisty. Żyła tą myślą, kiedy usłyszy go znów, grającego jak wówczas, gdy rzucił przedziwny czar na słuchaczy. Muzyka stała się dla niej teraz czemś koniecznym, czemś, co było nieodzownym i tak drogiem, jak światło dnia, jak słońce, które przysłowione uwielbienie, jaksz niema cześć dla mistrza tonów, dla piękna sztuki, której dotychczas nie znała i której głębi i ducha przenigdy nie miała sposobności przeniknąć.

P O Ż E G N A N I E

Idę wolniutko ścieżką. Taka cisza dokoła... Powietrze pachnie, nagrzone promieniami sierpniowego słońca.

Na lewo od ścieżki krzaki malin, wysokie, zielone; wśród nich gdzie niedzie czerwieni się jeszcze jagoda.

Gdy przyjechałem, było ich pełno, aż oczy się radowały.

Zieleń już przybrała odcień ciemny, słońce grzeje jakoś inaczej. Chyba mniej mocno?

A może mnie się tak zdaje tylko?

Podchodzę do białego dworu. Kochany, stary dwór! Stoi taki poważny w ostatnich blaskach zachodzącego słońca. Okna błyskają ku mnie... Chyba jakoś smutno? Czy smutniej niż codzień? Ej, chyba nie — to ja smutniej patrzę na nie, na dom, na ogród.

Siadam do łódki. Wiosłuję wolno, wolniutko; przede mną ucieka stadko kaczek; płyną równo, jedna za drugą, usiłując dobić czem prędzej do brzegu.

Łódka sunie cicho po spokojnej dziś Welli.

Gdzieś z czworaków słychać słaby głos śpiewającego dziecka.

Dobijam do brzegu lasu, wysiadam, idę.

Jużem znowu w poważnej zieloności drzew świerkowych; krzaki jeżyn chwytają mnie za ubranie, jakby chcąc zatrzymać.

Pierwszy to raz, jeżyny moje, wyjeżdżam przed waszem dojrzeniem!

Siadam na mej ulubionej górze. Ach, cisza, kojąca, błogosławiona, tak pożądana w mieście. — Bzykają cichutko komary. Las gra swą codzienną, przedwieczorną pieśń majestatyczną najcudniejszą symfonię przyrody. Kładę się, zamykam oczy, wsłuchuję z natężeniem: to po raz ostatni w tym roku...

Już wracam. Łódkę przywiązałem na zwykłym miejscu; idę wolniutko ku białemu dworowi.

Skrzypnęły lekko drzwi, ktoś stanął na progu. „Chodź, synku, na kolację”, słyszę cichy głos matki.

Wychodzę po posiłku na podwórko. Biały stary wyżeł Rex towarzyszy mi z powagą.

Już jutro o tej porze będę w Warszawie.

Żegnam się z dobytkiem, obchodzę raz jeszcze stajnie, obory, śpichrze i stodoły. Takie to wszystko bliskie mi, takie drogie.

* * *

Już noc. Gwiazdy błyszczą tajemniczo; co chwila błysnie jakaś mocniej i spada. Świerszcze rozpoczynają sierpniową muzykę nocy.

Kładę się.

Jeszcze pies zaszczekał... Cicho, cichutko. Coraz ciszej grają świerszcze...

Już cisza.

J. W.

Z W Y C I E Ś T W O !

Burza rozsiała się na dobre!

Płd.-wschodni wiatr dał z niezmierną siłą, przynosząc z mola, od rozbawionego towarzysztwa, smętne tony „Katuszy”.

— Hallo, Olek, — darłem się, napróżno stając się przekrzywić wycie wiatru — wiesz, że jednak boję się dzisiaj wyjeżdżać; a po chwili: „Teraz pojedę ja, a potem oddam tobie łódź, dobrze?”

Skinął na znak zgody.

Wciągnąłem grot, ułożyłem złożone wiosła w kajaku i spuściwszy miecz, usiadłem w tyle łodzi, mocno przechylony na stronę zawietrzną, aby zrównoważyć przechylenie się łupiny.

Kajak, skręcony na forde-wind, jednym susem odskoczył od brzegu.

Chwila namysłu, strachu... a potem jakieś dziwne otępienie, jakaś chorobliwa moc...

— Pocóż właściwie narażałem życie? — myślę teraz, kiedy w ciepłym pokoju piszę te wspomnienia.

Każdego dnia po obiedzie chwytamy żagle, wiosła, „nieprzemakalne” żeglarskie wiatrówki... i nad zatokę.

Samo ściąganie kajaka, przygotowania do żeglugi, ryk fal, wycie wiatru... to wszystko działało na mnie bardzo. Czułem, że będę

musiał ciężką stoczyć walkę z samym sobą, aby wsiąść do kajaka i puścić się z „wiatrem w zawody”.

Pamiętam te chwile wsiadania do kajaka; ze słowami: „niech się dzieje wola Nieba”... z lekkim dreszczykiem chwytam szkot, wypuszczam na wiatr żagle, a potem — potem coś wola we mnie:

„Nie daj się pokonać”!

Możliwe, że to, co czyniłem, było szaleństwem, lecz kiedy wsiadłem do łodzi, a potężny wicher zadał w maleńki żagielek, kajak zaś orał swym czubem spienione grzywacze, z trudem przedostając się na wierzchołek fali, kiedy przechylona łupina groziła w każdej chwili wywróceniem, kiedy każdy większy bałwan obryzgiwał mnie od stóp do głów, a nieprzemakalna wiatrówka zmieniła się na płócienny kubeł do wody, a ja drżący, zachłyśnięty słoną wodą, dociągałem żagla jeszcze... jeszcze trochę... jeszcze... czułem wtedy, że wyrabiam sobie tą walką hart ducha, że jestem zwycięzcą, byłem dumny, że nikt inny, że ja poskromiłem te rozhukane fale.

Po kilkunastu minutach linka grota wrzyna się w ciało tak nieznośnie, że z bólu zaciskam

zęby, ciało ziębi ostry, przenikliwy wiatr, a zalany kajak (mimo fartucha ochronnego), z trudem wy dostał się na grzbiet grzywaczy.

Niestety, nie wygrawszy zakładu, muszę dojeżdżać do brzegu (zakład polegał na tem, kto pierwszy wjedzie do portu w Jastarni; wjazd był o tyle trudny, że należało żeglować pod wiatr, skrętnie omijając ławice piasku, które były tak niebezpieczne, jak rafy).

Trzęsąc się, zdjąłem treningi, wyjąłem i... nałożyłem; muszę zobaczyć klęskę lub zwycięstwo (dosyć wątpliwe) mego towarzysza.

Spokojny, skupiony wsiada do kajaka i po chwili znika mi z oczu za najbliższym bałwanem (aby niebawem pokazać się na szczycie grzywacza).

Wiatr szybko suszy moje ubranie. Idę na molo; stąd lepiej widać lawirowanie kajaka. Stałem za falochronem, przyglądając się tańczącym parom i smętnie zawodzącej orkiestrze.

Wzrok mój co chwila odrywa „Wygę”, która (mówię zupełnie szczerze) wyglądała tak, jakby nie miała zupełnie szans na powrót do lądu: zmoczony żagiel i ociążałe ruchy kajaka (z pewnością miał dużo wody)... przykro patrzeć.

Po 15-to minutowem lawirowaniu towarzysz mój dosięgnął latarni, która znajduje się mniej więcej w odległości jednego kilometra od portu.

Wtem na horyzoncie ukazał się jacht, pędzący z nadzwyczajną szybkością.

Wiedziałem, że towarzysz mój jest czasami nieobliczalny, lecz nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia. Kiedy jacht znajdował się koło latarni, Olek minął go niespodziewanie. Odetchnąłem, lecz tylko na chwilę, gdyż silnem skruceniem rumpla obrócił kajak w prawo, równając się w ten sposób z jachtem.

— Czyżby Olek chciał się z nim ścigać? — przemknęło mi na chwilę przez głowę; po-

myśl ten zdawał mi się jednak dosyć zabawny.

— Toć on kompletnie oszalał, — wymówiłem prawie głośno — przecież może rozbicić kajak, sam się utopić... cóż on wyprawia?

On tymczasem dociągał szkot coraz bardziej, przechylał się na stronę zawietrzną i widocznie postanowił... co postanowił? chyba nie ścigać się... a może...

Zainteresowanie na molo rośło coraz większe, mała z początku grupa ludzi zaczęła rosnąć; ludzie z wyrazem zainteresowania sledzili tak przypadkowy i nierówny wyścig.

Obie żaglówki, prując zawałjacko fale, zbliżały się szybko do portu. Raz zdawało się, że kajak odbił się od jachtu na dobre parę metrów, to znowu jacht prześcigał kajak...

Spojrzałem na twarze zebranych — były poważne i zaciekawione wyścigiem.

Teraz już mi nie chodziło o to, czy Olek wygra zakład; och, żeby on mógł prześcignąć jacht!!

Stojąc z boku, nie mogłem obserwować ruchów i posunięć obu łodzi, lecz czułem i wiedziałem jedno: szanse kochanej „Wygę” wcale się nie zmniejszyły. Jeszcze jakieś 10 metrów, z...? jeszcze 9, 7, 4... nie, to już przechodzi wszelkie granice możliwości, jak ten kajak może dorównać jachtowi?

Publiczność wyraźnie zdenerwowana; zrazu pojedyncze okrzyki: „kajak! kajak!” Potem jak na komendę wszyscy: „kajak! kajak! kajak!!!”

Usłyszał widocznie Olek ten krzyk, gdyż jeszcze bardziej dociągnął szkot grota i na chwilę odsadził „wroga” na dobre pół długości „Wygę”.

Jeszcze dwa metry, jeszcze je... co? nie, to niemożliwe. „Wygę” prześcignęła jacht?

„Brawo”, „brawo kajak”. Okrzyki były najlepszym dowodem, że się nie myliłem.

J. Durko.

Z ODZNAKAMI DO ODZNACZONYCH

Dnia 16.6 33 r. po wiecu, który uchwalił nadanie odznaki samopomocowej zasłużonym, ze znanego gmachu przy ul. Smolnej 30 wyszło trzech ciemno ubranych młodzieńców. Byli to: prezes S. K., dźwigający w piersiach sporą dozę dumy, a na piersiach wspaniałą odznakę, prezes komisji rewizyjnej, dopiero co uznany przez współkolegów za jednego z najlepszych synów szkoły oraz osoba nierównie mniej dostojna od pozostałych, obarczona jedynie parą imponujących narządów słuchu i dwoma zwinietymi dyplomami. Był to, jak się domyślicie, specjalny wysłannik „Życia Szkoły”, wybrany z pośród licznego grona członków redakcji właśnie ze względu na swe uszy, dzięki którym, słysząc wszystko wysmieniecie, podzielił się z czytelnikami swemi wrażeniami z wręczenia dyplomów i odznak samopomocowych byłym uczniom naszego gimnazjum.

Ruszyliśmy tedy, jak się rzekło, we trzech,

a jako delegacja nawskroś reprezentacyjna nie używaliśmy innych środków lokomocji jak taksówki. Kiedy już ulokowawszy się na dermatoidzie beżowego wehikułu, zaszczyciliśmy mistrza korby i kierownicy swemi cennymi zleceniami, a ów wprowadził swego stalowego rumaka w ruch jednostajnie przyspieszony bez początkowej szybkości, prezes kom. rew. objął dyktaturę i zamianował się pierwszym, a prezesa S. K. drugim delegatem, mnie zaś powierzył obowiązki szefa protokołu.

Po kilku minutach zarówno obaj delegaci, jak i zlekka za nimi — z tytułu swej funkcji — stojący szef protokołu znaleźli się przed drzwiami windy, która niebawem wchłonęła ich w swą czeluść i porwała ku wyżynom.

— Oj, żeby tylko nie stanęła w murach — jęknął drugi delegat.

— O, nie — mruknął lepiej obeznany z konstrukcjami elektrycznymi delegat pierw-

szy — najwyżej nie będzie chciała zatrzymać się i będziemy jeździć z góry na dół i z dołu do góry.

— Uważam, że pobyt nasz (oczywiście nie w windzie, lecz w mieszkaniu b. redaktora „Życia Szkoły”) nie powinien trwać dłużej, jak 17 minut — stwierdził z urzędu szef protokołu. Po wyjściu z windy zadzwoniłem i usunąłem się w cień, żeby puścić przed sobą prześwietnych delegatów. Weszliśmy wszyscy trzej do przedpokoju, gdzie zdjąwszy wierzchnie okrycia, powitaliśmy oficjalnie naszego chwilowego gospodarza. W pięknym, jasnym pokoju nastąpiło uroczyste wręczenie dyplomu i wkręcenie odznaki w butonierkę odznaczonego, poczem potoczyła się wytworna rozmowa. Pan Wojciech, narkotyzując się nikotyną, rozmawiał z nami nader uprzejmie o szkole, wakacjach wogóle, jeździe konnej w szczególności i samopomocy wogóle a naszej dzisiejszej wędrowce w szczególności; lecz, niestety, nadeszła chwila, w której, spełniając obowiązki szefa protokołu, zakomunikowałem, że siedemnasta minuta zbliża się, więc po serdecznem pożegnaniu, pozostawiliśmy najświeższy numer „Życia Szkoły”, opuściliśmy się windą na dół.

W taksówce (patrz wyżej), która wiozła nas do b. prezesa S. K. i administratora naszego pisma, któryś z delegatów przypomniał sobie c. jakowymś straszliwym psie, który pilnuje osoby i spokoju tego męża, zasłużonego zarówno dla samopomocy, jak i dla pisma.

Wobec tego pierwszy miałem wstąpić do tego przybytku ja, jako szef protokołu a za mną dopiero delegaci. Ustawiliśmy się w takim porządku. Dzwonię, drzwi otwierają się i pada zapytanie:

— Czy pan Bolesław jest w domu?

— Owszem.

— A pies?

— Zamknięty. Delegacja wkracza poważnie, a z drugiej strony uchylają się drzwi, i ukazuje się w nich burza złotych włosów, za nią twarz, okraszona przemiłym uśmiechem i reszta ciała, opięta w ciemno-szary garnitur. Nasz ex-kolega, (on to był bowiem, jak nietrudno się domyśleć), zaprasza nas do swego gabinetu, gdzie właśnie przygotowywał się do egzaminów prawniczych. Tu, rozjaśniając jeszcze bardziej swe oblicze, przyjął z naszych ust i rąk należne mu słowa i przedmioty. Poczem zawiązała się rozmowa, podczas której delegaci raczyli się wodą, a właściciel zjadliwego czworonożnego objaśniał nas, że zwykł często wylądować na ulicę, a zobaczywszy, że idzie ktoś do niego, wychodzi na jego spotkanie do drzwi, względnie każe oznajmić, iż jest nieobecny, zależnie od osoby interesanta. Nie chcąc przeskadzać w zbożnej pracy świeżo udekorowanemu, upewniwszy się, że szpic nie zaatakuje nas, opuszczamy dom, z za drzwi którego słychać dopiero teraz donośne szczekanie.

Andronik.

W D Z I Ę C Z N E P O W I T A N I E

17 sierpnia powróciła do Warszawy wyprawa harcerzy Polskich Drużyn Warszawskich, biorących udział w wszechświatowym Jam-boree.

Ci skromni chłopcy, obleczeni w krótkie kha-ki mundury, osiągnęli, że imię Polski było powtarzane przez przedstawicieli 47 narodów świata, że polski okrzyk „Czuwaj” stał się zawołaniem międzynarodowym.

Swoją postawą, karnością, wyrobieniem, tańcami i ogładą towarzyską podbili serca uczestników wszechświatowego Złotu.

Wyniki świetnego wrażenia, jakie wyprawa polska wywarła, nie dały długo na siebie czekać: przedstawiciel Polski Druh Harcmistrz Rzeczypospolitej Strumiłło został po raz pierwszy wybrany do Międzynarodowego Biura Skautowego, w którego skład wchodzi 9 przedstawicieli najpoważniejszych państw.

Wszystkie gazety węgierskie piszą z entuzjazmem o tańcach narodowych, demonstrowanych przez Polaków. Jeszcze jeden triumf — to wybór Polski na organizatorkę II Wszechsłowiańskiego Złotu Skautów, który ma się odbyć w 1935 r. pod Krakowem.

To sukcesy oficjalne. Ale znacznie większą przyjemność sprawiło bezpośrednio naszym harcerzom przyjęcie, jakie im zgotowano w Gödöllö i zresztą wszędzie... zagranicą.

Entuzjazm tłumów był podobno wielki: ileż to razy obrzucano ich kwiatami! Wrywano sobie poszczególnych zuchów, zapraszając na obiady, podwieczorki i kolacje do prywatnych domów.

I oto... wyprawa polska powróciła. Na stacji powitała harcerzy garść rodziców. I... stop! Gdzież się podziały tłumy wiwatujące? Gdzie kwiaty? Ano... zostały zagranicą. Bo w Polsce trzeba sensacji monstre, żeby wzruszyć serca ludzi obcych bezpośrednio jakimś celom czy ideałom; trzeba propagandy szalonej, żeby zrozumieli, że ktoś jednak dla Ojczyzny zrobił bardzo dużo i że mu się za to należy jakaś nagroda...

Pragnąc być sprawiedliwym, muszę jednak zaznaczyć, że znaleźli się w Polsce ludzie, którzy zrozumieli olbrzymie znaczenie propagandowe sukcesów naszych harcerzy: to korespondenci pism i Polskie Radio.

Zarówno w gazetach, jak i w radjo pełno było codziennych entuzjastycznych wzmianek o Gödöllö.

Niestety, entuzjazm pozostał na papierze i zginął w falach eteru; oddźwięku nie znalazł.

A szkoda...

Obserwator.

N O C

*Wszyscy nagle umilkli, a noc rozmawiała.
Kolumnada w Sopotach zdaleka błyszczała;
Księżyc strugę świetlistą przez morze przerzucił;
Wiatr w wyścigu z łalami to jęczał, to nucił;
Kamień stoczył się, szursząc, pod strome urwisko,
Las, szumiący wokoło, przysunął się blisko.
Światło morskiej latarni na Helu rozbliżyło,
Rozjaśniało się chwilę, mrugnęło i przysło;
Jakaś piosnka urwana chwilami dźwięczała,
Myśmy, milcząc, słuchali, a noc rozmawiała.*

W. Ł. — Orłowo.

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

B. kol. J. Małcużyński nadesłał do redakcji poniższy artykuł. Artykuł ten traktujemy jako dyskusyjny.

Powracam raz jeszcze do niezmiernie aktualnej sprawy, którą już poruszałem na łamach „Życia Szkoły” — chcę wskazać na te cechy charakterystyczne obecnej młodzieży, które stwarzają pewien typ młodego człowieka. Ten typ decyduje o poziomie środowiska, które go i kształca. Środowisko akademickie kształtuje typ akademika. Chcę podkreślić te cechy, które są wspólne **niemal wszystkim** młodym ludziom w okresie ich studjów.

Wysuwa się kwestja, czy typ współczesnego studenta może być uważany za przykład, godny naśladowania przez absolwenta szkoły średniej. Kwestja to niezmiernie ważna i aktualna, bo od jej rozstrzygnięcia zależy w znacznej mierze ukształtowanie linii życiowej młodego maturzysty.

I. Szkodliwość przedwczesnego angażowania się politycznego.

Uważam, że typ obecnego studenta nie jest wzorem, godnym naśladowania. Uzasadnię to. Charakterystyczną jego cechą jest nastawienie partyjne w stosunku do kolegów, którzy mają inne, niż on, poglądy. Poza tem cechą omawianego przez nas „typu studenta” jest bierne, bezkrytyczne uleganie „prawdom”, głoszonym przez nieuczciwych „leaderów” partyjnych, przez zwierzchników tej czy innej organizacji. W tem tkwi ogromne **niebezpieczeństwo dla indywidualności**, czyli dla tych elementów naszej psychiki, które są może najbardziej wartościowe. Widzimy, że partie wychowują naogół ludzi bez indywidualności, bez krytycyzmu, bez wyraźnego oblicza intelektualnego. Są to ludzie, w których psychice zewnętrzny nakaz organizacyjny okazał się silniejszy od osobistego, wewnętrznego przekonania.

W tem zjawisku możnaby widzieć także pewną dozę idealizmu (przyjmowanie poglądów „na ślepo”, „na wiarę” dowody zaufania, jakiem ci najmłodszy obdarzają starszych kierowników), ale stwierdzić muszę, że tego rodzaju „idealizm” jest raczej szkodliwy.

Ta standaryzacja myślowa, którą powyżej scharakteryzowałem, jest bardzo ujemnem zjawiskiem — prowadzi ona do wykształcenia typu człowieka, który organizacyjnie przedstawiać może duże walory, ale nie będzie to jednak człowiek prawidłowo myślący. **Psychoza partyjna**, podsycana sztucznie, rośnie i potężnieje. Przejawia się ona w formie masowej produkcji pustych, płytkich banałów, oklepanych frazesów i tanich hasel, obliczonych na naiwnych. Nie przesadziłbym, gdybym twierdził, że „działalność” niejednej partji omal się nie wyczerpuje w drukowaniu i kolportowaniu ulotek, zachęcających do zapisywania się w jej szeregi. Są to smutne objawy, wobec których młody człowiek, który wstępuje w życie akademickie, winien zająć **stanowisko krytyczne i wyczekujące**. Poczucie wartości osobistej nie pozwoli nikomu na przyjęcie roli pionka, poruszanego obcą ręką.

II. Zwalczajmy dyletantyzm.

Praca polityczna na terenie akademickim jest najwzdzięczniejszem polem popisu dla dyletantów. Nie wymaga ona przygotowania, nie wymaga żadnych kwalifikacyj poza pewną dozą tupetu i umiejętności demagogicznego narzucania poglądów. Dyletantyzm i kultywowanie niekompetencji mści się zawsze. Sięgnijmy myślą do pierwszych lat, poświęconych budowaniu fundamentów wskrzeszonej do życia państwowości polskiej. Dlaczego praca w tym kierunku szła z początku tak mozolnie i opornie? Dlatego, że za dużo było dyletantów, a za mało — ludzi zawodowo przygotowanych, za mało było specjalistów. **Uświadomienie sobie kierunku swej specjalizacji jest koniecznością**. Specjalizacja — to jedna kwestja, drugą — byłaby sprawa zdobycia pewnej **sumy wszechstronnych wiadomości**. Jest to sprawa t. zw. gólnego wykształcenia. Po skończeniu gimnazjum nie posiada się jeszcze ogólnego wykształcenia. Życie idzie szybko naprzód, coraz to nowe dziedziny wiedzy przychodzą do głosu. Żyjemy w czasach, w których elementarna

znajomość kwestyj ekonomicznych (kryzys, bezrobocie, nadprodukcja i t. d.), prawnych i społecznych przekracza ramy tych specjalności, te kwestje wchodzą dziś już niewątpliwie do zakresu t. zw. ogólnego wykształcenia, które, jak widzimy, nie jest pojęciem stałym. Oczywiście, wyżej omówione sposoby przeciwdziałania dyktantyzmowi: (a) uświadomienie kierunku specjalizacji, b) oparcie tej specjalizacji na gruntownym „ogólnym wykształceniu” nie wyczerpują kwestji. Wskazałem z konieczności na rzeczy najważniejsze, najbardziej typowe, nie kusząc się o wyczerpanie tak bogatego tematu.

III. Anarchja pod płaszczkiem życia społecznego.

W psychice Polaka tkwi integralnie **instykt anarchji**. Nie będę uzasadniał historycznie tej prawdy, byłoby to zresztą łatwe i wdzięczne zadanie (rozwój swobód szlacheckich). Obecnie cecha ta przejawia się ze szczególną siłą, zwłaszcza wśród młodzieży. **Ten instykt anarchji realizuje się najpełniej właśnie w konkretnych formach organizacyjnych.** W Polaku tkwi zazwyczaj niechęć do czynu, zamiłowanie do frazesu, niechęć do pozytywnego wysiłku („jakoś tam będzie”), zamiłowanie do burzenia, do negacji, do opozycji („liberum veto”). Te wady musimy zwalczać. U źródła tych wad leży, moim zdaniem, instykt anarchji, organizacyjnie uzewnętrzniającej się jako posłuszeństwo pewnym nakazom zgóry. Wadę tę możnaby tępić przez samowychowanie. Samowychowanie spoczywa w rękach licznych organizacyj mniej lub więcej „ideowych”, które ten instykt podsycają. Powstaje więc błędne koło, — na tej drodze nie oczekujemy rozwiązania problemu.

IV. Niski poziom kulturalny w pracy politycznej.

Jeżeli spojrzymy na zewnętrzne wyniki pracy, na rozmach i talent organizacyjny obecnej młodzieży akademickiej, możemy być dumni z **wysokiego poziomu organizacyjnego** społeczności akademickiej. Ale jest i druga strona medalu... **typ człowieka**, wychowanego przez tę społeczność; tylko to kryterjum, tylko jakość tego typu może nam służyć przy ocenie wewnętrznej wartości organizacji, o których mówimy. Nie możemy przytem nie stwierdzić, że poziom wyrobienia kulturalnego wśród młodzieży jest niski. Przyczyna tego tkwi w strukturze i w założeniach obecnych partyj politycznych, dzięki którym wyższe uczelnie stają się nierzadko terenem barbaryzacji młodzieży. Coraz częściej pięść i laska stają się decydującymi argumentami w rozstrzyganiu konfliktów „ideowych”. Coraz bardziej upowszechnia się mniemanie o dopuszczalności używania środków niskich i nieetycznych dla osiągnięcia celu, który się sobie wytknęło. Hasło nienawiści znajdzie dziwnie łatwy posłuch wśród młodych, wśród najmłodszych. Ci najmłodsi zwłaszcza najłatwiej idą na lep błyskotliwego komunału, który kłamie, albo nic nie znaczy. Nie wskazuję na **żadną partję**, stwierdzam tylko, że te metody postępowania zyskują sobie prawo obywatelstwa. Reasumując, stwierdzam, że **dążność do ilościowego wzmocnienia organizacji**, do standaryzacji myślowej **bez równoczesnego pogłębiania ideowego i bez troski o jakość typu produkowanego** — to wszystko **wpływa na obniżenie poziomu kulturalnego życia akademickiego.**

Jerzy Małoużyński.

Z ŻYCIA ORGANIZACYJ UCZNIOWSKICH

KRONIKA SZKOLNA

Po długoletnim pełnieniu funkcji dyrektora gimnazjum ustąpił ze stanowiska p. Henryk Lipski.

Stanowisko dyrektora z nowym rokiem szkolnym objął p. dr. J. Dąbrowski.

W dniu 21 sierpnia rozpoczął się nowy rok szkolny. Głuche podczas wakacyj korytarze i klasy gimnazjum zapełniły się znów gwarem setek głosów. Uroczyste nabożeństwo na intencję nowego roku szkolnego odprawił ks. prefekt Kowaliński.

*

Dnia 10 września odbyło się pierwsze miesięczne zebranie Sodalicii Marjańskiej.

Tego też dnia delegacja uczniów klas starszych wraz z p. prof. Nowakiem wzięła udział w obchodzie ku czci ś. p. Tadeusza Hołównki.

*

Dnia 11 września, jako w pierwszą rocznicę śmierci ś. p. Żwirki i Wigury, podczas porannej modlitwy ks. prof. Kowaliński w krótkich

słowach od ołtarza przypomniał czyny bohaterów lotników i wezwał do gorącej modlitwy za Ich dusze.

Poczty sztandarowe naszej szkoły wzięły udział w nabożeństwie żałobnym za ich dusze w kościele Św. Krzyża.

*

Dnia 11 września o godz. 17, odbyła się na boisku szkolnym uroczystość przekazania Drużyny Harcerskiej nowemu drużynowemu, dhowi Kowalskiemu. Po ostatnim rozkazie ustępującego komendanta drużyny Berezowski wręczył proporzec drużynowego dhowi Kowalskiemu, przypinając mu jednocześnie granatowy sznur.

*

Dnia 12 września odbył się wiec jesienny S. K. Wiec został zaszczycony obecnością p. dyr. Dąbrowskiego.

*

Dnia 13 września wyjechały na czterodniową wycieczkę przyrodniczą do Białowieży obie klasy czwarte.

*

Dnia 14 września wyjechała na kilkudniowy pobyt do Osiedla klasa VI.

*

We wtorek dnia 19 września, odbyła się uroczysta akademja z okazji 250-lecia zwycięstwa pod Wiedniem.

Po zagajeniu p. dyrektora chór wykonał hymn narodowy, poczem referat historyczny o Janie III oraz współczesnym mu układzie stosunków politycznych w Europie wygłosił p. prof. Dunikowski.

Następnie chór szkolny odśpiewał „Bogurodzicę”. Akademję zakończył marsz Jana III w wykonaniu kol. Sańcewicza na fortepianie.

Po akademji cała szkoła pojechała do Wilanowa.

Dzień wtorkowy wolny był całkowicie od zajęć szkolnych.

*

Dnia 27 września poczty sztandarowe i delegacja uczniów naszego gimnazjum wzięły udział w odsłonięciu pomnika Stefana Batorego na podwórzu państwowego gimnazjum im. Batorego przy ul. Myśliwieckiej. Delegacja samorządu złożyła u stóp pomnika wiązanek kwiatów z niebieskimi szarfami. Tego samego dnia wieczorem w gimnazjum Batorego odbyła się herbatka z udziałem przedstawicieli wszystkich gimnazjów im. Batorego i Zamoyskiego z całej Polski.

*

Dnia 27 września obie klasy 7-me ze sztandarem wzięły udział w pochodzie manifestacyjnym na rzecz Pożyczki Narodowej.

Dnia 29 września zebranie delegatów wszystkich klas gimnazjum i przedstawicieli szkoły powszechnej, z pp. dyr. Dąbrowskim, kier. Buczowskim i prof. Nowakiem na czele postanowiło przystąpić do subskrypcji Pożyczki Narodowej.

Z SAMORZĄDU SZKOLNEGO

Pracę w roku bieżącym rozpoczynamy pod znakiem doniosłych reform wewnętrznych. Samorząd ma skupić w swym ręku wszystkie kółka i sekcje, istniejące na terenie naszego gimnazjum oraz nawiązać ściślejszą współpracę z Drużyną Harcerską i Sodalicją Marjańską. Reorganizacja ta przedstawia się, jak następuje.

Władza ustawodawcza.

Władzą ustawodawczą Samorządu Szkolnego jest Zebranie Ogólne. W skład Zebrania Ogólnego wchodzi: Samorządy Klasowe (pięciu członków z każdej klasy), Komitet Wykonawczy, Rada Naczelna i Komisja Rewizyjna. Zebranie Ogólne wybiera Komitet Wykonawczy: prezesa, vice-prezesa, sekretarza, skarbnika, komisarza łącznikowego oraz Komisję Rewizyjną, złożoną z 4 członków.

Władza wykonawcza.

Władza wykonawcza dzieli się na: 1) Komitet Wykonawczy i 2) Radę Naczelną. Skład Komitetu Wykonawczego podany powyżej. Rada Naczelna składa się z Komitetu Wykonawczego, przewodniczących sekcji, przedstawicieli organizacji autonomicznych i gospodarzy klas. Wszystkie uchwały Rady Naczelnej muszą uzyskać aprobatę K. W.

Władza kontrolująca.

Władza kontrolująca składa się z 4 członków, którzy w głosowaniu tajnym pod przewodnictwem prezesa Samorządu Szkolnego wybierają z pośród siebie przewodniczącego.

Kontroli Komisji Rewizyjnej podlegają wszystkie organizacje, prócz trzech autonomicznych, t. j. Drużyny Harcerskiej, Sodalicji Marjańskiej i L. O. P. P.

Warszawa, 12.IX. 1933.

PROTOKÓŁ WIECU JESIENNEGO S. K.

Wiec otworzył dotychczasowy prezes S. K. kol. Koenig i zaproponował następujący porządek dzienny:

- 1) Zagajenie i wybór przewodniczącego.
- 2) Odczytanie protokołu poprzedniego wieceu.
- 3) Wybór Komitetu Wykonawczego i Komisji Rewizyjnej.
- 4) Wolne wnioski.

Porządek ten został przyjęty przez wiec jednogłośnie.

Na początku obrad zabrał głos p. dyrektor Dąbrowski i w krótkich słowach scharakteryzował cele, dla których przetwarza się ustrój szkolny samorządowy. Po swem przemówieniu p. dyrektor wiec opuścił.

Kol. Koenig zreferował organizację przyszłego samorządu.

Następnym punktem były wybory władz. Głosowanie dało wyniki następujące.

Zaproponowane przez ustępujący zarząd kandydatury na członków Komitetu Wykonawczego w osobach kolegów:

- A. Niklewicza VII-A — na prezesa.
- J. Wakulczyńskiego VII-A — na w.-prezesa.
- K. Voellnagla VII-b — na skarbnika.
- S. Bańkowskiego VII-A — na sekretarza.
- J. Waldenberga VIII-A — na komisarza łącznikowego zostały przez wiec przyjęte większością głosów przy jednym wstrzymującym się od głosu.

Kandydatury na członków Komisji Rewizyjnej w składzie:

- J. Koenig VIII-A, J. Durko VIII-B, S. Czapliski VII-A oraz A. Chrzanowski VIII-A zostały przyjęte przez aklamację.

Przystąpiono do ostatniego punktu porządku dziennego. Na ręce kol. przewodniczącego wpłynął następujący wniosek: „Wiec S. K. poleca nowemu Zarządowi opracowanie w terminie dwumiesięcznym statutu Samorządu Szkolnego.

Sekretarz wieceu: Zbigniew Armiński.

Z ADMINISTRACJI „ŻYCIA SZKOŁY”

W bieżącym roku szkolnym skład osobowy administracji „Ż. Szk.” przedstawia się, jak następuje: administrator kol. Armiński 7b, kier. rozprzedaży kol. Dittmar 5b, kier. wysyłkowy kol. Zaleski 4a.

Z HARCERSTWA

Okres wakacyjny był niezwykle ruchliwym w naszej Drużynie. Od dn. 17 czerwca do dn. 17 lipca odbył się normalny obóz Drużyny w Beskidach pod Gorlicami, we wsi Wapienne. W obozie wzięło udział 48 chłopców z naszej szkoły pod komendę H. O. Zenona Kowalskiego. Podczas pierwszych dwóch tygodni obozu stałego zorganizowano również obóz wędrowny, składający się z 7 najstarszych chłopców pod komendą phm. Kazimierza Berezowskiego. Wycieczka wędrowna wyruszyła z Wisły na Śląsku Cieszyńskim, by przez Tatry, Zakopane, Krynicy dotrzeć do Gorlic. Uczestnicy wycieczki przybyli do obozu stałego w świetnej kondycji.

Po normalnym obozie drużyny nastąpił okres wytężonych przygotowań do wyjazdu na wszechświatowe Jamboree w Gödöllő pod Budapesztem.

Drużyna nasza w liczbie 31 starszych chłopców pod komendą podharc. Kazimierza Berezowskiego dzielnie reprezentowała Polskę, zdobywając zasłużone uznanie.

Po ukończonym Jamboree kilkunastu chłopców pojechało jeszcze do Austrii, aby zwiedzić Wiedeń.

Czekający nas okres pracy zimowej stoi pod znakiem dużych reform w systemie prowadzenia zajęć. Poza tem długoletni nasz drużynowy phm. Berezowski ustępuje ze swego stanowiska, otrzymawszy nominację na Hufcowego. Miejsce drużynowego obejmie również wychowanek naszego Gimnazjum H. O. Zenon Kowalski.

DO WIADOMOSCI KOLEGÓW OD „KOŁA PRZYRODNICZEGO” PRZY GIMNAZJUM I SZKOLE POWSZECHNEJ

Koło przyrodnicze składa się z 6 kółek:

1) hodowli roślin, 2) przyjaciół ptaków, 3) hodowli zwierząt, 4) pomocników w muzeum i pracowni przyrodniczej, 5) badania przyrody, 6) bibliotekarzy.

Kółko hodowli roślin ma za zadanie opiekować się roślinami we wszystkich klasach oraz przy „oknie głównym”. Zebrania kółka odbywały się raz na tydzień, na których omawiano sposoby wzorowej pielęgnacji oraz przesadzanie i mnożenie roślin. Członków jest około 40.

Kółko hodowli zwierząt pielęgnowało w klasach i w muzeum przyrodniczym myszy, żółwie, węże, morską świnkę, jeża, żaby oraz ryby.

Członków jest 10.

Kółko przyjaciół ptaków brało udział w podkarmianiu ptaków w zimie w Ogrodach: Botanicznym (7 karmników), Paderewskiego (5 karmników), Frascati (3 karmn.), Szkoły Gł. G. W. (2 karmn.), Ogrodzie Szkolnym na Dobrej (3

karmn.) albo samodzielnie, albo z uczniami innych szkół w porozumieniu i przy współpracy z „Ligą Ochrony Przyrody”. Zebrania odbywały się raz na tydzień. Wycieczek obserwacyjnych podmiejskich było 4. Członków było 25. Pokarmu zużyto 60 kg.

Kółko Pomocników w „Muzeum Przyrodniczym” i „Pracowni Przyrodniczej”. Zadaniem kółka była pomoc w przeprowadzaniu ćwiczeń oraz utrzymywaniu w porządku eksponatów i tablic w muzeum i pracowni.

Porządkowano zbiory motyli i powiększono je nowymi okazami.

Członków 20 — 26. Frekwencja uczniów przy zwiedzaniu muzeum dochodziła do 60 dziennie.

Kółko Badania Przyrody zorganizowało wycieczkę zimową do Osiedla szkolnego celem zbierania zależności zjawisk w przyrodzie żywej od warunków meteorologicznych. Materiały w opracowaniu. Członków 7.

Kółko „Bibliotekarzy” wydawało i utrzymywało w porządku książki biblioteki przyrodniczej. Książek w bibliotece przyrodniczej jest około 300. W ciągu roku wypożyczono 228 książek. Członków kółka 4. Ogółem członków „Koła Przyrodniczego” było 90 — 100.

Z KÓŁKA PRZYRODNICZEGO

Redakcja otrzymała od „Kółka przyrodniczego” artykuł kol. Nawrota, który drukujemy poniżej.

Gdy mieszkałem na prowincji w pobliżu lasów i pól, często bardzo zdawało mi się znaleźć, szczególnie po ulewnym deszczu, jakieś ptaszę, wyrzucone z gniazdka, jeszcze niezupełnie opierzone. Przynosiłem je zazwyczaj do domu, wychowywałem, a gdy podrosło i samo już jadło, wypuszczałem na wolność.

Razu jednego w czerwcu podczas b. chłodnych i dżdżystych dni znalazłem w pobliżu domu maleńkiego ptaszka (pokrzewkę), ledwie opierzonego, zziębniętego, przeto, żeby go rozgrzać, napełniłem butelkę gorącą wodą i na niej usłałem z waty gniazdko. Przytaczam ten szczegół dlatego, że wiem z doświadczenia, że tak maleńki ptaszek, siedząc samotnie nawet w wacie, zdechnie z zimna. Karmiłem go mrówczami jajkami, robaczkami, otwierałem mu dziobek z początku z wielką trudnością, gdyż maleńki ten i jeszcze miękki dziobek nie łatwo było otwierać. Ale jaka była zato przyjemność patrzeć, jak ta kruszyna już po dwóch dniach zaczęła otwierać sama dziobek na widok zbliżającego się palca.

W dzień zacząłem go wynosić na dłoni na werendę, na słońce; machał wtedy ogonkiem i wydawał głosik. Można sobie było wyobrazić, jakie było moje zdziwienie, gdy na ten zew zobaczyłem matkę ptasią, siedzącą na brzegu werendy z dużym komarem w dziobku. Posadziłem ptaszka na stole, stojącym na środku werendy i patrzyłem, co będzie dalej; ptaszek podskoczył zaraz w stronę matki, otworzyłem mu dziobek, a ta, jak tylko mogła najprędzej, włożyła mu w dziobek komara i natychmiast uciekła. A więc wychowanek nie był sierotą, a ja wiedziałem, czem mam go żywić. Odtąd w dnie pogodne wynosiłem ptaszka na weren-

dę, a po chwili zjawiała się samiczka z pożywieniem. Pomimo tego matczynego karmienia moja ptaszyna, która sypiała już nie w gniazdku, ale w klatce z kanarkiem, codziennie rano dopominała się ode mnie jedzenia.

Na oknie koło klatki stały doniczki z kwiatami, ptaszek siadywał na gałązkach, a gdy kwiaty zostały świeżo podlane, kąpał się w wodzie, która nie zdążyła jeszcze wsiąknąć w ziemię. Później kąpał się w miseczce, specjalnie na to przygotowanej.

Gdy już jadł sam i zaczął fruwać po pokoju, choć z wielkim żalem, wypuściłem go na swobodę, bałem się bowiem, że gdy przyjdzie jesień i czas odlotu, nie zdąży zapoznać się ze swymi współbraćmi.

Opisując to prawdziwe zdarzenie, pragnąłem zwrócić uwagę nie tylko miłośników przyrody, ale wszystkich na rozum i serce tak maleńkiej ptaszyny.

SEKCJA KULTURY FIZYCZNEJ

Dnia 26 sierpnia, odbyło się zebranie „Sekcji kultury fizycznej”, na którym został wybrany nowy zarząd. Do ścisłego zarządu weszli:

kol. Strenger	7-a	jako prezes
„ Ambożewicz	7-a	„ skarbnik
„ Żelazko	7-a	„ sekretarz
„ Widawski	7-a	„ gospodarz
„ Voellnagel	7-b	„ kronikarz

Poszczególne gałęzie sportu objęli:

Kol. Sokołowski	7a	— tenis,
„ Voellnagel	7-b	— lekkoatletykę,
„ Pawliszewski	7-b	— pływanie,
„ Leżański	7a	— strzelanie,
„ Dobosz	6	— szczypiorniak,
„ Bielawski	7a	— gry sportowe,
„ Tabor	7a	— szermierkę.

Wkrótce zaczną się treningi lekkoatletyczne.

PISMA NADESLANE

„KUŹNIA MŁODYCH”

Nr. 11, poświęcony prawie całkowicie wspomnieniom ze zjazdu „Straży Przedniej” w Gdyni.

Dziwnym wydać się może pomieszczenie w tym numerze wiersza p. t. „Mobilizacja” (na str. 11), nie nadającego się pod żadnym względem do drukowania w piśmie szkolnym.

Nr. 12. Zawiera, jako artykuł wstępny, wezwanie do subskrybowania przez młodzież szkolną „Pożyczki Narodowej”. Dalej uwagę zwraca bardzo ciekawy pod względem formy wiersz p. t. „Miotacz” oraz artykuł dyskusyjny p. t. „Redaktorzy wszystkich czasopism, łąćcie się!”. O ile idzie o ten ostatni artykuł, wydaje się, że myśl stworzenia jakiegos ogólnopolskiego bloku pism szkolnych jest dobrą.

Treść numeru urozmaica obszerna kronika szkolna oraz zawsze bardzo dobrze redagowany przegląd prasy.

Nr. 13. Bardzo dobry artykuł wstępny p. t. „Historja i polityka”, dalej sprawozdanie z Koła L. O. P. P. oraz zakończenie dyskusji na temat bloku pism szkolnych.

Przeciwko twierdzeniu, iż „redagowanie tego rodzaju pism (mowa tu o pismach, których działalność ogranicza się tylko do jednej szkoły) wynika przeważnie z pobudek snobistycznych i jest zwykłym wyrzucaniem pieniędzy”... musimy jak najkategoryczniej zaprotestować! Wieloletnie choćby tradycje „Życia Szkoły” wskazują najwymowniej, że pismo, wychodzące tylko na terenie jednej szkoły, może wychodzić z powodzeniem, ku pożytkowi i dumie szkoły i jej wychowanków. W dalszym ciągu numeru: listy z różnych stron, obszerny dodatek toruński, dobre wiersze klubu artystycznego „Wpoprzek”, nowela p. t. „Szpieg”, kronika harcerska (szkoda, że taka krótka), kronika szkolna oraz świetna fotografia Karola Krowczyńskiego, zamieszczona z racji rocznicy urodzin wielkiego kompozytora.

Ciekawy i urozmaicony numer zamyka przegląd prasy, poradnik literacki oraz dział porad i rozrywek umysłowych.

„WIADOMOŚCI BIELAŃSKIE”

Lipcowy numer „Wiadomości Bieleńskich” przedstawia się zewnętrznie bardzo ładnie. O ile idzie o treść, widać, że redakcja wkłada niemało starań w możliwie jak największe urozmaicenie numeru.

Na wyróżnienie zasługują artykuły p. t. „List z trzeciej Rzeszy” oraz „A gdy wyjedziesz na studia zagranicę”. Zarówno spostrzeżenia z Niemiec Hitlera, jak i obserwacje b. Bieleńczyka, studującego w Antwerpii, wydają się trafne i ciekawie ujęte.

Treść numeru urozmaicają sprawozdania z działalności organizacji szkolnych.

Mimo ogólnego wrażenia dodatniego, jakie numer czyni na czytelniku, pragnąłbym zwrócić uwagę Szanownej Redakcji na pewien szczegół, moim zdaniem, dość niesmaczny: oto za dużo jest w numerze „Wiadomości Bieleńskich”, reklamy dla... szkoły. Zarówno bez artykułu, specjalnie podkreślającego, że w roku bieżącym **wszyscy** Wychowankowie Zakładu otrzymali matury, jak i bez dwóch ostatnich stron, zapełnionych już zwykłą reklamą, mogłyby się obyć.

„RYCERZ” I RYCERZYK NIEPOKALANEJ”

Nadesłano nam lipcowy i wrześniowy numery „Rycerza Niepokalanej” oraz majowy i czerwcowy „Rycerzyka Niepokalanej”. Oba pisma stoją na wysokim poziomie literackim, służąc niewątpliwie w pierwszej linii sprawie kształcenia zdrowych, katolickich poglądów na życie i sprawy, z niem związane.

Dobrze zrobiono, rozpoczynając wydawnictwo „Rycerzyka Niepokalanej”. W ten sposób zostały zaspokojone potrzeby intelektualne zarówno starszych, jak i młodych czytelników.

W.

Sklep z materiałami piśmiennymi
otwarty jest codziennie przed
== lekcjami i na dużej pauzie ==

ZESZYTY, PIÓRA,
OŁÓWKI, GUMY,
BRULJONY i t. p.

POLECA

Po cenach przy-
stępnych i w najlep-
szych gatunkach

z firmy

z firmy

L. GRABOWSKI i S-ka

WARSZAWA

ul. MARSZAŁKOWSKA 124

OD REDAKCJI

Numer wydajemy z opóźnieniem, spowodowanym strajkiem pracowników drukarni. W myśl uchwały Komitetu Wykonawczego Samorządu Szkol., poczynając od bieżącego numeru, „Życie Szkoły” będzie rozdawane uczniom Gimnazjum i Liceum, jako członkom Samorządu bezpłatnie.

Redaktor odpowiedzialny dr. **Juljusz Nowak.**

Wydawca: **Samorząd Szkolny G. J. Z.**

Administrator: **Z. Armiński (7-b)**

Adres Redakcji i Administracji: Gimn. im. Zamoyskiego, Warszawa, Smolna 30.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.